

Koronowicz Anna

Lady Locksley

Z „*Science Fiction*” nr 17 – sierpień 2002

Guy z Gisbourne przyjechał rankiem po burzy; w powietrzu wisiał jeszcze jej zapach a środek dziedzińca Benford był jedną wielką kałużą. Ominięłam ją ostrożnie i przywitałam Guya przed bramą. Jego żołnierze zatrzymali się nieco dalej, na skrawku trawy. Od czasu do czasu zerkali w naszą stronę. Zapewne później wymienią między sobą komentarze.

Guy zatrzymał się w stosownej odległości, ukłonił się lekko. Ranek był ciepły, więc zdjął kaptur kolczugi; wilgotne czarne kosmyki ciasno przylegały do jego czoła. Spuściłam głowę, by nie przydawać żołnierzom powodów do komentarzy. Oraz by włosy zakryły siniec na prawym policzku.

- Pani... - Guy postąpił krok naprzód. - Czy burza... ? Nawet nie łudziłam się, że przejechał drogę z Nottingham do Benford tylko po to, by zapytać o skutki nocnej burzy. Pokręciłam głową.

- Konie wpadły w panikę - wyjaśniłam. - Jeden ciężko ranił Mateusza. W głowę. Nie ma jednak obaw. Ulżyło mu, a może tylko chciałam, by tak było? Oj, Zuzanno, jesteś niemądra.

- Pani, muszę cię ostrzec - powiedział nagle. - Wczorajszego wieczora na drodze do Nottingham zamordowano pięciu żołnierzy...

- Zbójcy? - zapytałam cicho.

- Być może. Najprawdopodobniej. Mimo iż w naturze takich rabusiów nie leżą napaści na zamki... Pani, racz zachować szczególną ostrożność. Nie otwieraj bram obcym.

Skinęłam głowę. Benford leżało tuż przy Sherwood, najdalej od miasta Nottingham, niemal w Yorkshire. Parę wsi było pod jego opieką. A teraz, w czas wypraw do Ziemi Świętej, niewielu mężczyzn mieszkało na zamku. Parobek Mateusz leżał w łóżku z głową w bandażach, brat Tuck całymi dniami przesiadywał na przemian to w kaplicy, to w kuchni. Zamek miał nikłą szansę obrony nawet przed bandą dzieci zbrojnych w kije.

- Obiecuj mi, Zuzanno.

Ocknęłam się. Zuzanno? Powiedział to szeptem, żołnierze go nie usłyszeli. Przestroga przed bandą rzeźmieszaków była jego obowiązkiem - ale czy słyszałam w jego głosie... ? Oj, Zuzanno. Nie myśl zbyt wiele. Nie warto.

- Obiecuję - odparłam, nie wiedząc nawet na co się godzę. Uśmiechnął się i cofnął do konia i oddziału.

- Do zobaczenia, pani.

Skinęłam mu tylko. Gdy zniknął wraz z żołnierzami pomiędzy rzadkimi tu jeszcze drzewami, odwróciłam się, by wrócić do Benford i zaryglować bramę. Wiatr uderzył mnie niespodziewanie, niosąc zapowiedź tak powszechnej w starej, dobrej, wesołej Anglii zmiany pogody. Porwał moje długie, czarne, kręcone włosy i cisnął mi w twarz. Zmrużyłam oczy.

Powinłam nosić czepek i zapinki. Naprawdę powinłam. Przecież od pięciu lat byłam mężatką.

* * *

Wyruszyli spod zajazdu „Trip to Jerusalem”, świeżo ochrzczonego. Szyld był jeszcze mokry od farby. Nie padało, choć deszcz wisiał w powietrzu. Był rok, o ile dobrze pamiętam, 1189.

Nie stałam wtedy pod „Trip to Jerusalem”, nie widziałam ich, rozplywających się w oddali. Brat Tuck opisywał, że broje lśniły w słońcu, jakby Bóg pragnął wskazać swych pomazańców, a blask tworzył aureole nad ich głowami. Ale tamtego dnia nie było słońca; chmury zaścieniały niebo z północy na południe, ze wschodu na zachód. Deszcz lunął wieczorem. Niebo płakało.

Ja nie.

Robert nie musiał jechać; miał ziemię, zamek, pieniądze. Miał żonę, której brzuch pęczniał od jego potomka. Lecz przyjaciele - ci, których żona... Którego ja nigdy nie umiałam zaakceptować, z entuzjazmem przyjęli możliwość wzbogacenia się na wyprawie. Byli trzecimi synami, w każdym razie John i Much. Mogli iść do klasztoru - lub na krucjatę. Kochali burdy. Cóż mogli wybrać?

Robert nie zniósłby, gdyby zdobyli chwałę w Jeruzolimie. Nie pogodziłby się z faktem, że mogli być lepsi od niego. Nigdy mnie nie słuchał, tamten raz nie był wyjątkiem. Nie obiecał, że wróci. Obiecał, że stanie się sławny.

Do towarzystwa wyciągnął trzeciego z przyjaciół, Willa. Oderwał go od narzeczonej, zanim zdołał małżeństwem poprawić swoją pozycję golca-szlachetki. Dziewczyna w rok wyszła za innego. Jest szczęśliwa.

Nie żegnałam tamtego ranka swego męża i jego kompanów pod „Trip to Jerusalem”, gdyż nim zesłam na dziedziniec do wozu, by dogonić ich na trakcie do Nottingham, nagły ból w łonie rzucił mnie na kolana. Skłamałam. Płakałam tego dnia.

Gdy Robert ze śmiechem na ustach oddalał się truchtem ku Dover, ja rodziłam jego dziecko, o całe dwa miesiące za wcześnie.

Nie chciało się mnie trzymać, tak jak i jego ojciec.

* * *

Przechodząc obok kałuży na dziedzińcu uniosłam suknię, mało bacząc czy ktoś przypadkiem nie zobaczy moich łydek. Nie potrafiłam wejść w rolę cnotliwej małżonki, którą tak naprawdę nigdy nie byłam, czy jeszcze cnotliwszej wdowy, którą się jeszcze nie stałam. Ojciec mój za życia zwykł mawiać, że lepiej byłoby dla mnie i dla Anglii, bym przyszła na świat mężczyzną. W tej jednej kwestii przyznawałam mu rację.

Bez pośpiechu weszłam w wilgotny chłód kuchni; palenisko zarzyło się jeszcze, lecz węgle bładły bez nadzoru. Panował półmrok, świece były pogaszone lub wypalone. Postąpiłam kilka kroków w głąb cienia.

Poczułam silny uścisk dłoni nawykłej do miecza na swoim ramieniu; jej właściciel odwrócił mnie do siebie, przyciągnął blisko, aż ustami odnalazł me uszy.

- Pojechali? - zapytał zachrypniętym, zmęczonym głosem. Pokiwałam głową szybko. Poluzował chwyt.

- Powiedziałaś im? Zaprzeczyłam, znowu samą głową.

- Co mówili?

Przełknęłam, bo gardło stało się nieznośnie suche.

- Mam mieć baczenie - wyszeptalam - i zamknąć bramy Benford. Nie wpuszczać obcych.

Odnalazłam wzrokiem jego szare oczy.

- Ale ty przecież nie jesteś obcy - dokończyłam - Robercie.

* * *

Grzmot obudził mnie tuż przed północą, zmusił do opuszczenia łóżka i szybkiego biegu w dół, po schodach, na dziedziniec. Dzikie rzenie koni towarzyszyło każdemu z mych kroków.

To nie była zwykła burza. Zdawało mi się, że całe niebo zważyło się na Benford, w akompaniamencie ogłuszających huków i iluminacji oślepiających błysków. Konie oszalały. Uderzały bokami o drzwi boksów, błyskały białkami oczu. W pewnej chwili gniadosz stanął dęba i kopytami rozniósł drewniane drzwi. W potępieńczym cwale runął na dziedziniec.

Widziałam go w blasku piorunów, jak miotał się w strugach deszczu, rozchlapując błoto. Stawał na zadnich nogach, tańczył, rzucając głową na boki. Nikt nie śmiał zbliżyć się do niego; Kasia tuliła się w drzwiach kuchni, brat Tuck nawet nie wystawił nosa z kaplicy. Mateusz stał obok mnie na deszczu i bezsilnie spoglądał na szczupłą sylwetkę gniadosza.

Ociekałam wodą; w pośpiechu nie pomyślałam o ubraniu dziennej sukni - mokłam w białym giele, które przylegało teraz do ciała jak druga skóra.

Gniadosz nagle rzucił się na bramę; uderzył w nią raz, cofnął się, uderzył drugi.

- Zabije się - wyszeptalam i Mateusz mnie usłyszał.

- Lepiej, żeby uciekł - odparł, trochę do mnie, trochę do siebie. I skoczył do bramy. Nie zdążyłam go powstrzymać, zresztą sama myślałam o jej otwarciu. Miałam tylko nadzieję, że będzie ostrożny.

Sługa zanurkował pod kopytami konia i jakimś cudem udało mu się podnieść rygiel. Wtedy gniadosz uderzył ponownie; Mateusz upadł ciężko, brama otworzyła się szeroko pod ciosem kopyt. Koń zawahał się na moment, jakby to, co zobaczył po drugiej stronie nie było tym, czego się spodziewał.

Cofnął się, szarpnął, zawrócił. Błysk i grzmot nadeszły równocześnie, gdy biegłam do Mateusza, leżącego nieruchomo pod bramą. W jasnym świetle ujrzałam wysoką sylwetkę, jak przekraczała bramy Benford. Krzyknęłam. Głośniejsz niż burza.

W następnym błysku zobaczyłam twarz postaci tuż nad sobą; dostrzegłam szare oczy pod mokrym kapturem.

- Żono - usłyszałam znajomy głos, moje serce zabiło, o ile to jeszcze było możliwe, mocniej. - To tak witasz swego małżonka?

Nie wiedziałam, naprawdę nie wiedziałam co mam robić. Powinnam była czuć radość, a poczułam jedynie ulgę. Ulgę, że to mój pan mąż, nie leśny bandyta. I wszystko wtedy wydawało mi się snem.

- Robercie... - jęknęłam, podnosząc się chwiejnie i objęłam go, wspinając się na palce. Deszcz spływał po nas chłodnymi potokami.

I nagle spojrzałam ponad jego ramieniem. Na dziedzińcu majaczyły trzy dobrze mi znane sylwetki: potężny John Little, mały, skrzywiony Much Miller i dorównujący Robertowi wzrostem Will Scarlet. W świetle kolejnej błyskawicy ujrzałam, że ich konie noszą barwy żołnierzy szeryfa a siodło najbliższego mi pokrywają jeszcze widoczne zacieki krwi.

Krew ciężko jest zmyć.

* * *

Robert poluzował uchwyt i mogłam cofnąć się odrobinę.

- Masz rację, Zuzanno - powiedział. - Nie jestem obcy. Dobrze, że to przypomniałaś.

- Zabiliście ich - sama nie wiedziałam, dlaczego to stwierdziłam.

- Kogo? - zapytał Robert.

- Żołnierzy szeryfa. Wzruszył ramionami.

- Sami się o to prosili.

Poczułam przejmujący chłód. Czy Robert zawsze był taki, czy to moc Ziemi Świętej zmieniła go w... Nie potrafiłam nazwać stworzenia, które stało przede mną. Spuściłam głowę, ukryłam twarz w dłoniach, opadłam na ławę. Nie mogłam kiedyś kochać kogoś takiego. Po prostu nie mogłam...

Przyklęknął naprzeciw mnie. Gdzie był teraz John albo Much, albo Will? Może w mroku oddalonego krańca kuchni. Albo w zamkowej piwniczce. Poczułam szorstką dłoń Roberta, gdy odgarniał włosy z posiniaczonego policzka delikatnym, łagodnym ruchem. Nadal bałam się spojrzeć na niego.

- Nie zostaniemy tu długo - powiedział. - W nocy odejdziemy. Do Sherwood. Zapomnisz, że tu byliśmy, Zuzanno.

Przygryzłam wargę. Zapomnę? Przez pięć lat czekałam na jakiegokolwiek wieści z Jerozolimy. Czy żyje, czy jest ranny... Czy martwy. Nie słyszałam nic.

Jerusalem pozostało w rękach niewiernych, a czyny Roberta Locksley przechodziły bez echa.

Początkowa nadzieja na jego powrót zamieniła się w pragnienie potwierdzenia jego śmierci. Bo wtedy - byłabym wdową.

I wtedy byłabym wolna.

Lecz oto zjawił się niczym duch, ale nie po to, by objąć Benford i uszczęśliwić żonę. Miał zamiar znowu odejść, uciec, zniknąć - ponownie nie czyniąc mnie wdową. Był szlachcicem, mord mógł nie pociągnąć za sobą żadnych konsekwencji; mógł wyłgać się ze wszystkiego, zawsze tak robił... Ale on nie chciał. Nie chciał ze mną zostać. Moje szczęście musiało dać wolną drogę jego szczęściu. Poczułam łyzy, cisnące się pod powieki.

Wtedy wstał i wolnym krokiem wyszedł na dziedziniec, w poranne słońce, zostawiając mnie w mroku.

* * *

Resztki radości umarły w momencie, gdy uderzył mnie w twarz. Zapytał o naszego syna - właśnie tak, bez ogródek. O syna. John, Much i Will siedzieli przy kuchennym stole i pili piwo, które hojnie rozlewała Kasia. Mateusz stał obok paleniska i zerkał w moją stronę.

To była córka i umarła zanim otworzyła oczy. Powiedziałam to Robertowi.

Jego spojrzenie stało się puste. Chwilę patrzył na mnie, a potem zaczął wykrzykiwać zdania, których nie słuchałam. .. Ale rozumiałam ich sens.

Byle mużułmańska dziwka umie urodzić mu zdrowego syna. Moja irlandzka krew zabija jego nasienie.

To chyba ja uderzyłam pierwsza. A jego cios rzucił mnie na podłogę, przez chwilę nie widziałam nic. I stało się coś niezwykłego - parobek skoczył bronić swej pani przed jej mężem rycerzem. Wiem, że krzyczałam, by się zatrzymał. Ale nie zrobił tego.

Robert nie sięgnął po miecz - po prostu wyczekał na odpowiedni moment i uderzył pięścią. Usłyszałam trzask. Kasia zaczęła krzyczeć. A Mateusz runął twarzą na moje kolana, zachlapując krwią z rozbitej głowy białe giezło. Oddychał. Tylko dlatego moje ramię, sięgające po polano z paleniska, zatrzymało się.

Robert rzucił coś jeszcze o tym, że parobek dogadza mi, gdy męża brakuje i usiadł przy stole, plecami do mnie.

Kasia chciała podbiec do nas, ale nagle Much złapał ją za rękę; szarpnęło nią w tył. John wybuchnął śmiechem, Robert milczał; oczy Willa jak dwa lodowe kryształki, przewiercały mnie na wskroś. A Much przyciągnął Kasię do siebie, próbował posadzić na kolanach. Wirywała się, powtarzając w nieskończoność błagalnie: - Łaskawy panie, proszę, niech pan się opamięta.

Patrzyłam bezsilna, przyciskając dłonie do rany Mateusza, czując jego gorącą krew pomiędzy palcami.

- Boga w sercu nie macie?! - Poderwałam głowę na dźwięk tego głosu, nie stworzonego dla płomiennych kazań, czy owocnych napomnień. Na schodach prowadzących na piętro stał brat Tuck. Był błydy, a jego tonsura pokryła się perlami potu. Kolana dygotały mu pod brązowym habitem.

Robert podniósł się i nagle wybuchnął śmiechem.

- Kiedyś twierdziłeś, klecho - przypomniał - że jesteśmy pomazańcami Boga.

- Nawet święci zbaczali z jasnego szlaku - ciągnął brat Tuck, wznosząc trzęsącą się rękę. - Nie jest to jeszcze znak wiecznego potępienia... Lecz jeżeli zawczasu...

Bez ostrzeżenia Robert cisnął kielichem w ścianę o cale od głowy Tucka.

- Nie gładź o potępieniu - wysyczał - boś go nigdy nie oglądał.

Wszyscy umilkli, nawet John, nawet Much, nawet Kasia. Robert usiadł. Brat Tuck osunął się na kolana, oddychając ciężko. Spuściłam głowę. Jedyne chyba akt heroizmu mnicha przeszedł bez echa.

- Kasiu - powiedziałam wolno i głośno. - Przynieś lniane prześcieradła i zagotuj wodę. Trzeba zająć się raną Mateusza.

Robert patrzył na mnie. A potem zwrócił się do przerażonej dziewczyny.

- Idź.

Nie musiał tego powtarzać. Kocioł z gorącą wodą postawił przede mną Will Scarlet.

* * *

Nigdy nie widziałam Irlandii, mój ojciec także. Matka miała jednak w żyłach irlandzką krew - kilka kropel, kilka ognistych kropel. Nie wiem, jak poznali się moi rodzice, nie wiem, gdzie. Ale wiem, że między nimi była miłość, nie ród czy ziemia. I była między nimi zielona wyspa w oczach mojej matki.

Matka umarła, gdy odstawiła mnie od piersi; pamiętam jedynie jej zapach i dotyk, nic więcej. Ojciec nie ożenił się powtórnie, nie miał już innej kobiety.

Podobno przypominałam mu matkę, podobno widział zieloną wyspę w moich oczach; wyspę, której nigdy nie oglądałam. Ale krwi irlandzkiej mogłam mieć w żyłach tylko kropelkę, nic nie znaczący ułamek.

Ojciec zwykł powtarzać, że to szczypta soli wydobywa prawdziwy smak potrawy. Kropla krwi barwi na czerwono całą garść śniegu.

* * *

Ktoś delikatnie dotknął mojego ramienia. Drgnęłam. W mroku kuchni wpatrywały się we mnie lodowe oczy Willa Scarlet.

Tak naprawdę to właśnie on, zawsze zamknięty w sobie, o chłodnym, beznamiętnym spojrzeniu, napawał mnie największym lękiem spośród przyjaciół mojego męża. John i Much byli zwykłymi opojami, skłonny do bitki i kobiet. O Willu nie potrafiłam powiedzieć nic, poza tym, że nigdy nie widziałam, by się uśmiechał.

Kamienna twarz i kryształki lodu zatopione w źrenicach.

Ale teraz, trzymając dłoń ostrożnie na moim ramieniu, Will Scarlet uśmiechnął się. Lekko, nieśmiało. Jakby usta zapomniały co należy czynić.

- Ciemno tu, Zuzanno - powiedział. - Chodź na słońce.

Poszłam. Pedantycznie omijałam kałuże. Czułam się nieswojo. Milczałam. Robert gdzieś zniknął; dziedziniec Benford był pusty, nie licząc mnie, Willa i kilku kur. Zatrzymałam się gwałtownie, mając nadzieję, że ten ruch zmusi go do wyjaśnień. Tylko... O jakie wyjaśnienia mi szło?

- Dlaczego? - zapytałam sama z siebie.

- Dlaczego co? - Był zaskoczony.

- Dlaczego zabiliście tych żołnierzy? Nie rozumiem. Wracaliście do domu. Dlaczego?

Nie wruszył ramionami. Spuścił głowę.

- Nie wyglądamy najlepiej, prawda, Zuzanno? - zapytał wreszcie, prezentując swój znoszony strój i kilkumiesięczny zarost uzupełniony równie świeżym brudem. - I nie podróżowaliśmy konno. Wzięli nas za chłopów. Kazali zejść z drogi. Było ciemno, jakieś krzaki... Robert zawsze był czuły na punkcie swojego szlachectwa, wiesz o tym, Zuzanno... Zaczął się z nimi przekomarzać, ani się obejrzelismy, już trzymał miecz... Zaraz potem musieliśmy mu pomóc, bo ich było pięciu a on jeden... Ale nie umieli się bić. Walka nie trwała długo. Wszyscy byli martwi, a my... Nawet nie draśnięci.

Pokręciłam głową.

- Mogliście - szepnęłam - zejść z tej drogi.

- Tak - przyznał. - Mogliśmy. Oparł się o mur, długo ważył pytanie.

- Czekaaś, prawda? Te wszystkie lata. Nie liczyłem. O mój Boże, ile to lat?

- Pięć - rzuciłam.

Pięć - smakował to słowo. - Bianka nie czekała, nie. Nie miała przecież żadnego powodu. Ale ty czekałaś, Zuzanno. I doczekałaś się. Tylko czego się doczekałaś? Nie warto było, Zuzanno. Nie warto, piękna pani. On wraca do innej.

* * *

Marianna z Lea. Widziałam ją tylko raz, lecz zapadła mi w pamięć. Spotkałam ją na uczcie u Roberta de Rainault, szeryfa Nottinghamshire. Wszyscy szlachcice z hrabstwa byli zaproszeni.

Posadzono ją niemal naprzeciwko nas - mnie i mojego męża, świeżo poślubionych, najszczęśliwszej pary Nottinghamshire, jak podkreślano w toastach.

Lady Marianna miała piętnaście lat, dopiero wchodziła w towarzystwo; była niewinna i świeża niczym pączek róży. Taką też miała cerę. Za to jej oczy błyszczały żywą zielenią niczym kocie. Jako panna nosiła rozpuszczone włosy; rude spiralki opadały jej do bioder. Usta, pełne, zmysłowe, o barwie dojrzałych malin, układały się w nieśmiały, płochy uśmiech. Pod liliową suknią kształty jej ciała zaledwie poczynały się rysować, lecz już te linie szkicu do przyszłego obrazu wiele obiecywały.

Mężczyźni uwielbiają takie nie wyklute jeszcze kobietki, nieświadome swojego czaru i wdzięku. Widziałam, jak patrzył na nią Robert. A ona, pod jego wzrokiem, płonęła rumieńcem.

Ale ucza skończyła się i już nigdy nie ujrzałam Marianny z Lea. Jak się później dowiedziałam, Robert oglądał ją jeszcze wiele razy.

* * *

Will patrzył na mnie uważnie, jakby chcąc się upewnić, że nie upadnę i nie zaniosą się szlochem. Stałam prosto, patrząc przed siebie, nie widząc jednak nic. Być może gdzieś w głębi serca wiedziałam o tym już dawno. A teraz fakt ten bardzo mi pomógł. Mogłam pozbyć się złudzeń. Gdyby dziecko przeżyło... Uciszyłam ten nagły szloch w głębi duszy.

- Zatem cnotliwa lady Marianna nie jest już wzorem czystości - szepnęłam ze smutnym uśmiechem.

- Jeżeli była nim kiedykolwiek - rzucił Will. Milczeliśmy dłuższą chwilę.

- Odjedźcie dziś w nocy - stwierdziłam wreszcie, zerkając w jego stronę.

- Tak - odparł. - I nigdy już nie usłyszysz o żadnym z nas. Tak, jakbyśmy zginęli w Jerozolimie. - Uśmiechnął się nagle do siebie. - Przejdziemy Sherwood, Yorkshire i ruszymy dalej, w góry. Tam... Tam nie trzeba mieć przeszłości, by zacząć żyć.

- To bardzo daleko - zauważyłam.

- Wiem - odpowiedział. - Nie szkodzi.

* * *

Odjechali; umycki, naźarci i ubrani, na koniach żołnierzy. Barwne elementy uprząży spaliłam. Ogień pochłoniął plamy krwi.

Odetchnęłam dopiero gdy Mateusz odzyskał przytomność, co stało się tuż przed kolacją.

* * *

Marianna z Lea odłożyła robótkę na krawędź parapetu i wychyliła się z okna. Włosy umknęły spod siateczki, okoliły jej delikatną twarz miedzianą aureolą.

- Panienko! - Skrzywiła się na dźwięk głosu piastunki, nie była już dzieckiem. - To nie przystoi!

Cofnęła się do wnętrza komnaty i zatrzasnęła okno. Zrezygnowanym wzrokiem spojrzała na starczą, wysuszoną twarz niani. Westchnęła i wydeła usta w sposób zupełnie nie pasujący do delikatnej damy.

- Słyszałaś o owym okrutnym mordzie na drodze do Nottingham? - zapytała cicho, ponownie odwracając się do okna. Pola ciągnęły się w nieskończoność; biały trakt wił się niczym tłusta dżdżownica. Z komnat Marianny nie było widać pobliskiej puszczy.

- Dobry Boże, panienko! To nie są sprawy dam! Marianna wzruszyła ramionami.

- Słyszałam, jak mówił o tym ten młody kapitan... Guy Gisbourne. Mówił o tym z ojcem. Pięciu żołnierzy... czy to nie przypomina pieśni rycerskich?

- Nie wydaje mi się, panienko - mruknęła piastunka. Marianna uśmiechnęła się do siebie, zamykając dłoń na ukrytym pod tkaniną sukni wisioru, o którym wiedziała tylko ona. Ona i jej rycerz.

- Jak w pieśniach... - wyszeptła do siebie.

* * *

Bertrand Ashbury z Nottingham rozprostował kości palców z głośnym trzaskiem. Równocześnie powóz podskoczył na korzeniu, okuta skrzynia poruszyła się pomimo podtrzymujących ją łańcuchów; monety zagrzechotały wewnątrz przyjemnym, uwielbianym przez Bertranda metalicznym dźwiękiem.

Już w dzieciństwie wyobrażał sobie poborców podatkowych zanurzających tłuste, opierścienione palce w zapchanych po brzegi złotymi monetami kufrach. Monety zawsze błyszczały, a nalane twarze poborców odbijały się w każdej z nich jak w maleńkim zwierciadle.

Bertrand pozostał jednak chudy jak grochowa tyczka, jego skrzynia świeciła pustkami, a monety były zaśniedziałe i brunatne, wytarte palcami i pogięte. Wyobrażenia nie zawsze zgodne są z rzeczywistością.

Marzył, że będzie rycerzem. Został poborcą podatków. I polubił swoją pracę.

Chwilami była uciążliwa - kiedy ludzi gnębił głód i brak im było pieniędzy na ziarno, na chleb dla dzieci. Ale król musiał otrzymać swoją dolę. „Oddajcie cesarzowi co cesarskie”, jak prawił opat pomiędzy jednym charknięciem a drugim. Nawet jeżeli ów „cesarz” jest jedynie bratem władcy, zwanym za plecami leniwym mieczem.

Powóz znów szarpnął i Bertrand wylądował na swojej skrzyni. Jedno zerknięcie w okno wystarczyło, by stwierdzić, że stoją w miejscu. Bertrand, wyprowadzony z równowagi, otworzył drzwi powozu i wyjrzał na zewnątrz, gotów nawymyślać durniowi na koźle.

Na drodze stał wysoki mężczyzna w ciemnozielonym płaszczu, brązowych bryczesach i rudawym wamsie; kaptur zakrywał większą część jego twarzy. Nie wyglądał na żebraka, nie wyglądał na zbójcę.

Jego trzech towarzysze także. Bertrand dostrzegł ich nieco później: olbrzyma o małych oczkach, krępego dzieciaka o kręconych, rudawych włosach i trzymającego się z boku barczystego mężczyznę. Dwaj pierwsi uśmiechali się, młodszy głupkowato.

- Dajcie drogę - zaczął Bertrand, biegnąc wzrokiem od jednego do drugiego. Żaden się nie poruszył. Ten w kapturze ścisnął łuk. Nie taki zwykły, jakich używali bandyci. Ten łuk kosztował sporą garść brzęczących monet. Bertrand zastanawiał się, czy leśnicy szeryfa mają lepsze. Chyba nie.

- Dajcie drogę, albo...

Na potwierdzenie słów Bertranda trzech żołnierze, tworzący jego obstawę, sięgnęli po miecze.

Zakapturzony uśmiechnął się. Samymi kącikami ust.

Bertrand złowił tylko cień ruchu, jakim ów mężczyzna sięgnął w tył, po strzałę. Wyćwiczone mięśnie bez trudu napięły cięciwę, ostrze zadrzało przy palcu wskazującym, lotka dotknęła policzka. A potem zaśpiewała w powietrzu. Żołnierz na wyciągnięcie ramienia od Bertranda też zaśpiewał, ale zdecydowanie inaczej. Drzewce wystające mu z krtani uniemożliwiało jakiegokolwiek popisy oratorskie.

Trafił dokładnie tam gdzie chciał - pomyślał ze zgrozą Bertrand. Spadający z konia zbrojny nie dosznurował przed wyjazdem skórzanego kołnierza. Dzień był ciepły, choć pochmurny.

Bertrand zamknął oczy, zatkał dłońmi uszy. Tyle razy przypominał szeryfowi o konieczności liczniejszej obstawy, ale de Rainault tylko machał ręką. Oto, jaki będzie tego wszystkiego koniec...

Silne szarpnięcie za kubrak wyciągnęło go z powozu i rzuciło na ziemię. Znalazł się twarzą w twarz z trupem drugiego żołnierza. Zmartwił.

Olbrzym jakimś cudem wyrwał łańcuchy przytrzymujące skrzynię z podłogi powozu. Rzucił je na drogę i uniósł wieko. Młody wskoczył za nim do środka. Bertrand usłyszał grzechot monet.

Człowiek w kapturze przykląkł przy poborcy. Bertrand skulił się w sobie. Zabije mnie, myśli biegały w jego głowie. Zabije. Na pewno.

- Nie dałem ci drogi - powiedział człowiek w kapturze - ale daję ci życie. Chcę, żebyś powiedział komu trzeba...

Wyprostował się i zrzucił kaptur z głowy. Bertrand zmrużył oczy. Ta twarz... Wydawała się znajoma...
- ...że Robert Locksley wrócił do Nottingham.

* * *

Tym sposobem mój pan mąż nie dotrzymał danej mi obietnicy. Guy z Gisbourne pojawił się dzień później, by odeskortować mnie do Nottingham. Dla mojego bezpieczeństwa, jak wyjaśnił. Lecz wiedziałam, że choć komnata w zamku szeryfa z całą pewnością będzie przytulna i wyposażona we wszystkie wygody, stanie się całą; a mury Nottingham barierą, której nie wolno mi będzie przekroczyć.

Jestem żoną rabusia, banity. I szlachetnie urodzoną damą, choć moja krew nie jest czysta.

Benford nie dysponowało powozem, a Guy z Gisbourne nie przyprowadził swego. I tak do Nottingham wjechałam na koniu, męcząc się w damskim siodle. Z mieszkańców zamku towarzyszył mi brat Tuck, spowalniając nieco nasz pochód.

De Rainault przyjaźnił się z moim ojcem. Powitał mnie jak krewną, okazał żal z powodu męża. Wierzyłam, że był szczery. Nie umiał kłamać.

Dziewczyna, którą dano mi na służbę była cicha i rzadko podnosiła głowę. Umiała pięknie czesać - lecz owoce jej porannych wysiłków skutecznie zakrywał małżeński czepiec. Po zamku Nottingham nie wypadało mi chodzić z gołą głową, a moje suknie - de Rainault przewidująco wyposażył mnie w kilka - były stonowane w kroju i w barwie. Czułam się niezręcznie, zamknięta w pancerzu haftek, pętelek i węzełków.

Podczas długich spacerów po arkadach wokół dziedzińca towarzyszył mi Guy z Gisbourne. Częściej rankiem, rzadziej wieczorem. I znowu czułam się niezręcznie.

Mnożyły się historie o rabunkach, dokonywanych przez człowieka w kapturze. Kupcy i najwyklejsi podróżni padali ofiarą szybkich, najczęściej bezkrwawych napadów. Dziwiło mnie to ostatnie. Nie pasowało zupełnie do Roberta.

Pewnego dnia zaś pojawił się nowy wers w historii o Robercie, zbójcy z Sherwood i okolic. Minął wtedy trzeci tydzień mojego pobytu w Nottingham. Dwa dni wcześniej Guy, po raz pierwszy, ujął mnie za rękę. I nie rozluźnił palców.

Historia Roberta rozszerzyła się o jeden szczegół: zbójca w kapturze rabował bogatych, a oddawał biednym.

* * *

Oczy dziewczynki były wielkie jak księżyce. Mocno ścisnęła rękaw ojcowskiej szaty, ale ojciec nie ruszał się. Klęczał na drodze, jego siwiejąca broda drgała, gdy recytował modlitwy starej wiary.

Nie podniósł leżącej w piachu gościńca Tory. Bał się wykonać najmniejszy ruch. Człowiek w kapturze patrzył.

Żyd zamknął oczy, nie przestając poruszać wargami. Gdy uniósł powieki, nie było już na gościńcu człowieka w kapturze, nie było olbrzyma, rudowłosego, nie było lodowookiego. Żyd odwrócił twarz do córeczki.

Nie było też ich ostatnich pieniędzy.

* * *

Will gwałtownie ściągnął wodze, zajeżdżając drogę Robertowi. Jego kasztanka prychnęła zaskoczona i zatańczyła. Obaj mężczyźni patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Potem Robert skierował klacz bokiem, wymijając deresza Willa. John i Much czekali cierpliwie pod dębem przy zakręcie.

- Sram na to, jak zdobywasz te swoje pieniądze, Rob - rzucił Will, ruszając za resztą. - Ale nie rozumiem po co nam one. Przez twoją niebotyczną głupotę jesteśmy wyjęci spod prawa. I poszukiwani!

- Wy nie. - Robert nie odwrócił się. - Ja tak.

- Chciałeś tego? - warknął Will, doganiając go. - Do diabła, ależ tak! Ty tego właśnie chciałeś! ...
- Mówiłeś coś o przydatności pieniędzy... - Robert nadal nie patrzył na Willa. W garści wciąż ścisnął żydowski mieszek. - Masz rację. Lichwiarskie monety są brudne.

Z przodu John Little krzyknął ostrzegawczo. Will natychmiast spał konia. Robert nieco później. Z przydrożnych paproci patrzyła na nich przerażonymi oczyma staruszka zgarbiona pod sporymi wiązkami chrustu. Chciała chyba odwrócić się i cofnąć, ale zdała sobie sprawę, że nie zdąży. Will z nagłą obawą zerknął na Roberta, ale ów uśmiechnął się niespodziewanie.

Sakiewka Żyda pofrunęła pod nogi staruszki, zatopiła się w zielonych liściach paproci.

Will nie był w stanie wykrztusić słowa.

Klacz Roberta poderwała się do biegu, on sam na moment przechylił się w siodle, zawisł nad staruszką.

- Robert Locksley - wysyczał. - Pamiętaj. Staruszka przeżegnała się; jeszcze nie odważyła się sięgnąć po sakiewkę. Will doganiał Roberta, gdy do jego uszu dobiegł krzyk kobiety:

- Bóg wam błogosław!

Przeklął szpetnie pod nosem, puszczając się w galop.

* * *

Ostre krawędzie wisiora raniły dłoń Marianny, ale nie wypuszczała go z palców. Ból otrzeźwiał, sprawiając, że myśli nie uciekały z rozgrzanego miłością ciała. Noc też była ciepła.

Usta jej rycerza całowały skórę pomiędzy piersiami. Nie słuchała, co próbował mówić. Z pewnością nic ważnego. On też był upojony miłością, nią samą i winem.

Wrócił. W momencie najwyższej rozkoszy zamknęła oczy, zagryzła wargi. Wrócił. Jej rycerz. A ona czekała, zachowując się tylko dla niego. Pięć lat... Dobry Boże! Pięć lat bez mężczyzny! Na samą myśl, że mogła to wytrzymać, Marianna z trudem powstrzymywała wybuch śmiechu. Ale było warto. Jej rycerz był wart lat postu, wart ryzyka nocnych eskapad... Jak Tristan i Izolda... Jak sir Lancelot i lady Ginewra... Jak...

Zacisnęła mocniej dłoń na wisiorze i otworzyła oczy. Zbliżał się świt. Musiała wracać.

Leżeli obok siebie w ciszy, gładziła jego włosy, zawijała je w loki na palcach. Jak na ilustracji, którą kiedyś widziała. Dama i jej rycerz.

- Usłyszałaś o mnie? - zapytał cicho, spoglądając jej w oczy.

- Dlatego tu jestem, mój panie - uśmiechnęła się. - Usłyszałam o Robercie Locksley, który rabuje bogaczy a daje biednym i wiedziałam, że ów człowiek w kapturze jest moim rycerzem...

- Twoim rycerzem - powtórzył zamyślony. - Tak. Twoim.

Marianna przypomniała sobie kobietę, która była przed nią. Czarnowłosą pół- czy ćwierć-Irlandkę z haczykowatym nosem. Dosyć. Robert mógł wrócić do niej. Lecz wybrał swoją damę. Swoją jedyną damę.

Był jej. Tak, jak tego pragnęła.

Tak, jak on tego pragnął.

Czarny kruk, siedzący na gałęzi dębu, pod którym leżeli już w ciszy, przekrzywił głowę i nagłym szarpnięciem rozwinął skrzydła, wzbijając się w noc. Gwałtowny ruch zwrócił uwagę Marianny.

Na pierś Roberta opadło jedno pióro.

* * *

Poderwałam się z pośłania tak nagle, że włosy oplatały moją twarz czarnym welonem, oślepiając na chwilę.

Ten sen... Och, Zuzanno, nie powinnaś śnić o takich rzeczach. To, że o nich myślisz, nie znaczy, że masz prawo oczerniać swego męża i lady Mariannę...

Dotknęłam czoła; było rozpalone. Na palcach osiadły drobinki potu. Sen był taki... Prawdziwy. Taki... Czulałam ciepło nocy i zapach lasu. Widziałam dąb, pod którym leżeli oboje, już zmęczeni miłością. Widziałam...

Na parapecie okna mojej komnaty siedział czarny jak smoła kruk i przyglądał mi się. Ludzkimi oczyma.

* * *

De Rainault zamrugał swoimi małymi oczkami, zaskoczony.

- Nie, Zuzanno - powiedział powoli. - Nie mogę pozwolić ci odejść. Zrozum, to dla twojego dobra...

Nie kiwnęłam głową, musiał wiedzieć, że ten argument nie dotarł do mnie. Byliśmy sami w jego gabinecie; wiecznie ciemnym; nawet dziesiątki świec nie potrafiły rozwiać mroku... Zamrugałam. Nie... To ja, i tylko ja, dostrzeżałam cienie, wijące się w rogach komnaty. Dobry Boże... Cóż to może znaczyć?

Czarny kruk siedział na parapecie wąskiego okienka tuż pod stropem. W milczeniu zmierzyliśmy się wzrokiem.

W biały dzień... Demony nie wychodzą na światło...

De Rainault przyjrzał się uważnie mojej twarzy.

- Zbladłaś - wyszeptał. - Zuzanno, co z tobą?

- Muszę wrócić do Benford - odparłam bez zastanowienia, lecz zgodnie z prawdą. Muszę wrócić do Benford. Tam nie miewam snów, tam nie przylatywały kruki o ludzkich oczach.

I tam miałam swobodę działania. Tylko... Co ja takiego chciałam zrobić? Zobaczyć Mariannę z Lea i porozmawiać z nią... Porozmawiać albo podążyć za nią, nocą, tam gdzie spotkam i Roberta... Zobaczyć ich razem na jawie, własnymi oczyma... Szalona Zuzanno! Po co ci to... Dlaczego dajesz wiarę snom i krukom?

- Powinnaś odpocząć, Zuzanno - usłyszałam de Rainault'a. - Nie możesz się przemęczać.

Już nawet nie powtarzałam mojej prośby. Musiałam uwierzyć, że jestem honorowym więźniem Nottingham.

* * *

- Jesteś klaczą czy jałówką?!

Głos przypominał krakanie wrony. To nie był sen, a ja bałam się unieść powieki. Leżąc bez ruchu, w myślach próbowałam powtarzać modlitwy - ale śpiewna łacina nie była moim językiem i słowa powtarzane tyle razy na nabożeństwach uleciały z mojej pamięci, bezsilne.

- Zadałam ci pytanie! Nuże, otwórz te śliczne oczęta!

Och tak! Posłuchałam tej kobiety. Chciałam wreszcie ją zobaczyć.

Na parapecie okna siedział kruk... Nie, kobieta... Kruk i kobieta zarazem. Z każdym mrugnięciem powiek widziałam ją inaczej - ptaka o ludzkich oczach i bladą, czarnowłosą kobietę w płaszczu z piór, o wydatnych czerwonych ustach.

Przeżegnałam się. Widziadło nie zniknęło.

- To Bóg miłości, nie zemsty. Nie przybędzie teraz. - Kobieta uśmiechnęła się. - Teraz potrzebujesz innego boga. Bardziej odpowiadającego twoim myślom... Boga, który pomoże ci ukarać...

- Nie! - Zatkaną uszy dłońmi. To sen... To musi być sen, przedłużenie tamtego koszmaru... Jak można bluźnić we śnie...

- ...Ukarać tych, którzy cię zranili - wykrakał kruk, przekręcając głowę.

W oddali zabrzmiał przeciągły krzyk, podobny do kwiku zabijanego królika, ale dłuższy i bardziej ludzki. Wszystkie włosy na ciele stanęły mi dęba.

Kobieta-kruk uśmiechnęła się.

- Niedaleko ktoś umiera - powiedziała. - Albo niedługo umrze. Bean sidh płaczą. Usłyszałaś je, prawda? Kiwnęłam tylko głową, czując rosnące przerażenie.

- To oznacza, że jesteś nasza - zakrakał glucho kruk. - Jesteś z naszej krwi. Jesteś klaczą, lecz założyli ci wędzidło.

Zimne dłonie kobiety dotknęły mojego policzka, a nasze oczy spotkały się - w jej był ogień i błysk stali. W moich musiał być strach.

- Zdejmę ci je. - Kruk załopotał skrzydłami.

* * *

Stałam pod szarym niebem na szkarłatnej, mokrej od krwi ziemi, pośród niezliczonych ciał, powykręcanych w agonii. Kobieta-kruk schyliła się i zerwała kwiat z piersi umierającego wojownika. Bean sidh zapłakały cicho w oddali.

- To mój ogród - wyjaśniła kobieta-kruk. - Pole bitewne.

Setki kruków zasłoniło niebo. Obok kobiety-kruka stały dwie inne: płomiennowłosa w miedzianej zbroi i siwa, lecz młoda, okryta poszarpaną szatą.

Wszystkie trzy naraz wyciągnęły ku mnie ramiona.

Chciałam się cofnąć, lecz nogi ugrzęzły mi w ciałach. Chciałam krzyknąć, lecz głos zamarł mi w krtani. Trzy kobiety urosły w moich oczach, zasłaniając sobą cały świat.

* * *

Koszmar... Usiadłam na łóżku i długo bałam się otworzyć oczy, by nie ujrzeć trzech kobiet z bitewnego pola sprzed wieków.

Zimne palce dotknęły mojego ramienia.

- Krew zawsze jest pełna mocy - powiedziała kobieta-kruk. W palcach drugiej ręki obracała kwiat.

- Czego chcesz ode mnie!? - Nie mogłam uwierzyć w siłę, z jaką wykrzyczałam to pytanie.

- Nie - kobieta-kruk zawiesiła głos. - Pytanie powinno brzmieć: czego ty chcesz ode mnie.

- Nie rozumiem - wyjąkałam.

- Rozumiesz. Twoja krew rozumie. Pragniesz głęboko czegoś, czego Bóg, w którego nauczono cię wierzyć nie może ci dać. Bogowie, w których wierzyli twoi przodkowie, nigdy nie mieli takich zahamowań. Krew i zemsta zawsze nas radowały.

Chłód wokół mojego serca przemienił się w ogień i dotarł do skroni.

- Morrigan. Nemain. Badb. - Moje usta poruszyły się i wydały głos, chociaż umysł przyglądał się temu ze zdziwieniem.

- Krew pamięta, ale ciało nie chce uwierzyć. - Kobieta-kruk, Badb, ogrodniczka pola bitwy, zawiesiła głos. - Cóż, minęły wieki. Uwierzy z czasem. I przypomni sobie o swojej mocy. O, cóżeś taka zdziwiona? Czyż nie mówi się, że w każdej niewieście drzemie wiedźma?

Zawstydziłam się, bo jej słowa obudziły we mnie nadzieję, że mogą być prawdą. W jednej chwili pękły wszystkie zapory, które postawiłam. Czemu miałam biernie spoglądać, jak mój świat odwraca się ode mnie? Czemu miałam bez słowa znosić to, co czynił mi Robert? Bo byłam kobietą? Tylko kobietą?

Nie, Zuzanno, przestań... To grzech. To zło...

- Nie! - krzyknęłam głośno, odpychając od siebie kruka i jej słowa. Ale nikt w zamku Nottingham nie usłyszał mojego głosu. Zgaszona świeczka stojąca na stole buchnęła w odpowiedzi błękitnym płomieniem.

- Widzisz? - Badb wskazała ją ruchem głowy. - Nawet ludziom zdarza się czasami mówić prawdę. Ale częściej się mylą. Nie w każdej niewieście drzemie wiedźma... Tylko w niektórych.

W następnej chwili już jej nie było.

* * *

To brat Tuck był moim spowiednikiem i to jemu rankiem wyznałam wszystko, z pokorą i w nadziei, że sprowadzi mnie ze zgubnej ścieżki. W miarę jak mówiłam, widziałam jak jego oczy stają się większe i większe, a na dnie pęcznieje strach i odraza. Ściskałam jego dłoń mocno, by nie uciekł.

Boże... Co ja mam robić... Ta rodzona jest przeklęta, ale czemu ja? Dobry Jezu, Panie nasz, ochroń mnie... Zgiń, przepadnij, wiedźmo... Puść mnie, na Boga Jedynego! - Nie otworzył ust, a mimo to usłyszałam go, głośno i wyraźnie, każde słowo... Każde słowo jego myśli! Był śmiertelnie przerażony. Nagłym szarpnięciem wyrwał się z mojego uchwytu. Jego myśli umilkły dla mnie.

Nie czekając, aż wybiegnie z kaplicy i, być może, zadenuncjuje wiedźmę odpowiednim władzom, chwyciłam go raz jeszcze za ramię. Omal nie krzyknął.

- Pamiętaj - wysyczałam, zbliżając twarz do jego - że wyznałam ci to na spowiedzi. Tego, kto złamie jej tajemnicę, czeka wieczne potępienie.

Brat Tuck zadygotał. *Dobry Boże... I co ja mam robić?* Uśmiechnęłam się do jego myśli.

- Nie rób nic - powiedziałam spokojnie. - Skoro nie możesz mi pomóc, nie rób nic.

* * *

- Wyglądasz... inaczej, pani - wyjąkał de Rainault, odsyłając gwałtownym gestem swojego sekretarza. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, szeryf uśmiechnął się. - Rad jestem, że czujesz się już lepiej. O wiele lepiej, jak mniemam.

Odwzajemniłam uśmiech. Teraz dopiero widziałam dlaczego komnaty de Rainault'a wydawały mi się mroczne i ciasne. Pod ścianami kłębiły się mnogie cienie tych, którzy za sprawą jednego podpisu sprawiającego urząd szeryfa tego hrabstwa, stracili życie. Powietrze było tak gęste, że aż trudno mi było oddychać. Mimo to skinęłam im głową. Kilkoro odpowiedziało.

Tego dnia wszystko przestało mnie dziwić, każdą kolejną niezwykłość brałam za coś naturalnego. Zaczynało mi się to podobać.

- Dziękuję - szepnęłam, trochę do szeryfa, trochę do towarzyszących mu cieni. - Lecz muszę ponowić moją prośbę.

- Powrót do Benford? - Znał moje pytanie i znał swoją odpowiedź. Wyciągnęłam rękę i położyłam mu na ramieniu.

Mój Boże, jaka ona jest piękna! Przekleństwo na Locksleya za to, co muszę jej robić... Lecz przynajmniej... Przynajmniej jest tutaj, w Nottingham... Blisko mnie... Jej ojciec nigdy by mi jej nie oddał, nawet gdyby...

Cofnęłam dłoń, oddychając szybko. De Rainault patrzył na mnie zdziwiony, a ja... Ja... Och, Zuzanno! Kłamałabyś, gdybyś chciała twierdzić, że nigdy tego nie podejrzewałaś... a toast, jaki de Rainault wznosił na uczcie twojego wesela? Ten, w którym nazwał Roberta najszcześniejszym człowiekiem w Nottinghamshire?

Kilka cieni przyglądało się mi z ciekawością.

- Zuzanno... ? - Głos de Rainault'a był opanowany, ale przecież wiedziałam... Przywołałam się do porządku. Nie miałam czasu.

Pozwolisz mi wrócić do Benford. - Spojrzałam mu prosto w oczy, ujęłam jego twarz w dłonie, zbliżyłam usta do jego. Myśli były tylko chaotyczną rzeką, gorącą i szybką. A potem ucichły. Oczy de Rainaulta były puste. - Pozwolisz mi jechać do Benford.

Pozwolił.

* * *

Sir Ryszard z Lea zmarszczył w zamyśleniu brwi i przyglądał ciemną brodę bezwiednym gestem. Marianna milczała, stojąc w smudze ciepłego światła popołudniowego słońca, która była jedynym radosnym akcentem w szarej komnacie. Ogień igrał w rozpuszczonych włosach dziewczyny.

Sir Ryszard pomyślał z czułością, że jego córka jest śliczna, zupełnie tak jak jej matka. Zbyt długo zwlekałem z tym, co mam teraz zrobić, - pomyślał - lecz... Po prostu chciałem mieć ją dłużej przy sobie...

- Córko... - Poruszyła się, ale nie uniosła głowy, wbijając wzrok w posadzkę. - Już dawno dojrzałaś do zamążpójścia... - Marianna drgnęła, zacisnęła dłoń w pięści. - Wiem, że to nagła decyzja, córko. Wiem, że czekałaś na ten dzień, jak każda młoda niewiasta...

Sir Ryszard umiał obracać mieczem i doskonale jeździł konno, ale na oratora nigdy się nie nadawał. Odchrząknął. Bywały chwile, gdy bardziej niż zwykle żałował, że jego pani żony nie ma już wśród żywych. To była jedna z takich chwil. Postanowił załatwić sprawę po żołniersku.

- Pan na Belvoir - rzucił w nadziei, że córka domyśli się reszty - to mężczyzna w kwiecie wieku, a jego włości są bogate. Jutro spotkasz się z nim tutaj, uzgodnimy datę ceremonii...

Marianna zbladła, chociaż w złotawym świetle chylącego się ku zachodowi słońca nie było to w ogóle widoczne.

* * *

Boże Przenajświętszy... - w jednej chwili widziałam wewnątrz terkoczącego powozu i bladą, pokrytą perłami potu twarz brata Tucka, przerażonego faktem zamknięcia w ciasnej klitce z wiedźmą, diabelskim pomiotem - w drugiej słyszałam słowa ojca Marianny, słowa wyroku rychłego zamążpójścia. Potem znowu byłam w powozie, który właśnie podskakiwał na wyboju drogi.

Brat Tuck przeżegnał się szybko, zaskoczony niepomierne tym, że zawołanie Boga nie wypaliło mi ust. Uśmiechnęłam się do niego, ale blado.

Uporczywy ból głowy nie minął wraz z wizją.

* * *

No, Zuzanno - powiedziałam do siebie późnym wieczorem, ubierając się bez pomocy i wiedzy Kasi w brązową, grubą suknię i wiążąc włosy, by nie wpadały mi do oczu - nie opierałaś się długo tej obcej ci mocy, którą teraz uznawałaś za swoją, za coś ci przyrodzonego, należnego. Wręcz przeciwnie. Pałasz chęcią zbadania jej granic, wywiedzenia się, ile potrafisz... Nigdy nie byłaś mądra, Zuzanno. Mądre kobiety godzą się ze swoim losem, nie próbują go zmieniać za wszelką cenę.

Wetniany płaszcz spięłam pod brodą broszą matki - złocistym, poplątanym w niewyobrażalne sploty, węzłem, który mógłby być węzłem pozerającym własny ogon. Węzłem, który mógłby być moim życiem.

Wiedziałam, że nikt nie zauważy mojego zniknięcia; nikt nie usłyszy otwieranej bramy i końskich kopyt na dziedzińcu. Wiedziałam, że Benford będzie spać spokojnie, gdy ja skieruję dzikiego zazwyczaj gniadosza na trakt ku Lea. I nie pomyliłam się.

* * *

To mój ojciec nauczył mnie jazdy konnej, szalonej jazdy, do utraty tchu w piersi, jazdy z wiatrem w zawody. Lecz jako cnotliwa białogłowa jeździłam dostojnie, wolno, w kobiecym, niewygodnym siodle, w którym każdy zryw wierzchowca groził upadkiem. Teraz nie musiałam stosować się do tamtych zasad, nie byłam przecież wcale cnotliwa i moich włosów też nie okrywał biały małżeński czepiec.

Podkasałam wysoko suknię, siadając okrakiem w siodle i puściłam się galopem - tym upragnionym, utęsknionym galopem - traktem ku Lea.

Nie myślałam o rabusiach, mogących czań się na trakcie, o czerni nocy i dzikim zwierzu. Moje myśli skupione były na Mariannie, która właśnie cicho wymykała się ze swych komnat. Czułam każdy jej krok, chociaż wcale tego nie chciałam. Jak powiedziała Badb - krew pamięta. Moja krew pamiętała to, co zwykle były robić moje przodkinie i wykorzystywała tę wiedzę. W każdym calu.

Warowny gród Lea zamajaczył w oddali. Tak szybko... Nie myślałam, że droga zajmie mi tak mało czasu... W moim śnie widziałam drzewo - i Roberta z Marianną, splecionych pod nim. To miejsce nie mogło być daleko.

Marianna szła. Pod stopami miała wilgotną glebę, glebę usianą spadłymi liśćmi.

Polana! Obraz ze snu nagle poszerzył się - dąb i para kochanków stali się karłami na trawiastej wysepce pośród morza drzew. Rzadki na obrzeżach zagajnik, widoczny z niektórych okien dworu, gęstniał z każdym krokiem Marianny.

Zsiadłam z gniadosza i zanurzyłam się w las, nie dbając o konia - wiedziałam, że przyjdzie, gdy tylko tego zapragnę. Szłam szybko, chcąc dogonić Mariannę jeszcze przed polaną, by...

Co zrobić? Porozmawiać z nią? Zemścić się? Nie zwolniłam, ale zaczęłam się zastanawiać. Dlaczego tu przyjechałam? Co naprawdę chciałam uczynić? I komu?

Zatrzymałam się gwałtownie.

Czy przyszłam tu z własnej woli, czy to krew przygnała mnie tutaj?

Krzyk Marianny rozdarł ciszę i urwał się nagle. Zamknęłam oczy.

* * *

Sir Ryszard i kilku zbrojnych stali na polanie, przeszukiwali zarośla. Nie było Roberta. Tylko Marianna, blada jak sama śmierć, już milcząca, pomiędzy swoim ojcem a wysokim dębem.

Przeoczyłam ich. Przeoczyłam niemały oddział mężczyzn w sporej ilości żelastwa, gdyż całą głowę zaprzętała mi myśl o Robercie i Mariannie razem. Poczulałam łzy wściekłości pod powiekami.

Czarny kruk wleciał przez okno sypialni i głośnym krakaniem obudził sir Ryszarda, akurat na czas, by ów ujrzął swoją córkę, udającą się na nocną przechadzkę...

Na grubym konarze dębu, nade mną, siedziały wszystkie trzy. Czas przestał płynąć; liście spadające z gałęzi zatrzymały się w powietrzu, chmury stanęły na niebie. Ogniste włosy Morrigan, Upiornej Królowej, były jedynym barwnym punktem w morzu czerni i granatu zamrożonego świata.

- Wy? - zapytałam z niedowierzaniem. - Wy doprowadziłyście do tego? - Nagła wściekłość sprawiła, że zapomniałam do kogo mówię. - Jakim prawem bawicie się ludzkim losem?!

Dwie roześmiały się: Morrigan perliście, Badb jak kruk. Tylko blada Nemain, pani Szału i Paniki, milczała. Nagle były przy mnie, cała trójka: z prawej, z lewej, nade mną, z tyłu i z przodu - poruszały się szybciej niż myśl, a ich głosy zlewały się w jedno.

- Nie byłaś gotowa. Po co tu przyszłaś? Chciałaś tylko ich zobaczyć. Przekonać się. Ujrzeć. To zbyt mało. To tylko szczegół. Musisz wysłuchać siebie. Zrozumieć to, czego naprawdę chcesz

- Czego chcę? - krzyczałam do każdej z nich, obracając się za nimi, w kółko, wciąż w ruchu. - Czego ja chcę?

- ...Zabić go...

- Nie - wyszeptalam, zatrzymując się i spuszczać głowę. - Chciałam tylko, żeby wyjaśnił mi, dlaczego przestał mnie kochać...

Umilkły, przekrzywiły głowy jak ptaki. Nie tego się spodziewały. Sama się tego nie spodziewałam. Dotknęłam broszy na piersi. Życie jak wielki, splątany węzeł, który rozwikła jedynie śmierć. Jakże piękny, wierny obraz...

- Nigdy was nie potrzebowałam - powiedziałam spokojnie, powoli uzmysławiając sobie prawdę. - To wy potrzebowałyście mnie...



Morrigan uśmiechnęła się.

Czy to możliwe - zwróciła się do swoich towarzyszek - by takie właśnie miały być prawdziwe wiedźmy? Potężne i świadome swej mocy, a jednak kierujące się rozumem, nie szalem krwi? Czy po to pozwolono nam przetrwać te stulecia? By ujrzeć hybrydę ognia i flegmy i żałować, że to już ostatnia?

- Nasza kara? - zapytała Nemain. - Nasze zbawienie?

Badb podeszła ku mnie, położyła dłoń na ramieniu, obeszła w koło, oparła podbródek na moim obojczyku, szepcząc poprzez zasłonę włosów.

- Mówiłam, że nie każda niewiasta rodzi się wiedźmą, i nie każda może nią zostać. Ty nią jesteś. Silną. Niezależną. Widzisz to, czego inni nie widzą, słyszysz rzeczy niesłyszalne dla innych. Jak dziesiątki tobie podobnych, które odeszły z czasem, by odpocząć. Byłaś i jesteś nam potrzebna. Bogowie potrzebują wyznawców. Inaczej... Zamierają. Odchodzą. Umierają.

- Bóg nie umiera - wyjąkałam. - Ten prawdziwy.

- Skąd możesz wiedzieć, który jest prawdziwy? - wyszczała Nemain. - Czy nie są prawdziwe te, które teraz rozmawiają z tobą?

- Spokój! - Morrigan uniosła dłonie. - To nie czas i miejsce na takie dysputy.

- Chmury na niebie poruszyły się, liście drgnęły.

- Traciecie siłę - zauważyłam. - Naprawdę słabniecie z każdą chwilą. Ale ja nie mogę wam pomóc.

- Możesz. Tylko ty - wyszczała Badb. - W tym pokoleniu tylko ty.

- Nie. - I jakby to słowo było zaklęciem, świat obudził się ze snu. Wiatr uderzył mnie w twarz, w oddali zabrzmiały krzyki ludzi sir Ryszarda, a Morrigan, Badb i Nemain cofnęły się w cień.

Nie patrząc już na nie, ruszyłam po swoich śladach ku rzadszemu zagajnikowi. Omal nie przewróciłam się o coś; zerknęłam pod stopy.

Wychodziłam z kamiennego kręgu. Z kręgu kamieni poznaczonych poplątanym węzłem, takim jak brosza. Wychodziłam, by nie wrócić. Dałam jeszcze jeden krok.

- Jednym z przywilejów bogów - usłyszałam słaby głos Badb, spleciony z wiatrem - jest możliwość odkrycia przyszłości. Rozważ jeszcze swoją odpowiedź, zastanów się dobrze, czy tą właśnie drogę wybierasz. Bo gdy następnym razem usłyszysz krzyk bean sidh, może ona płakać nad tobą..

Odeszłam, nie oglądając się za siebie.

* * *

Przez całą drogę do dworu Lea, sir Ryszard nie odezwał się do córki jednym słowem. Wiedział, że jego ludzie tylko czekali na wybuch; doskonale zdawał sobie sprawę ze zjadliwych komentarzy, jakie rzucali za jego plecami. Uspakajał się. Z córką porozmawia sam, za zamkniętymi drzwiami.

Marianna pokornie podążyła za ojcem do jego komnat. Nie płakała. Dłonie zaciskała na podarunku od swego rycerza.

Sir Ryszard długo chodził bez słowa po komnacie, lawirując między stołem a ławą. Na końcu kopnął ławę. Marianna zadygotała.

- Powiedz mi - warknął - że to nie była schadzka. Mogła zaprzeczyć. Milczała.

- Powiedz mi - sir Ryszard odwrócił się do córki - że nie spotykałaś się tam z mężczyzną.

Marianna milczała.

- Kto to był?

Mogła wyjawić wszystko, ale zagryzła wargi. Izolda nie wydała Tristana. Ginewra nie zdradziła Lancelota.

Sir Ryszard ogromną dłonią schwycił łańcuszek wisiorka Marianny, szarpnął, rozrywając ogniwa. Ostra krawędź przecięła palce dziewczyny.

- To od niego? - zapytał sir Ryszard ciszej. Nie odpowiedziała. Izolda nie zdradziła Tristana...

- Herb rodowy? - Głos sir Ryszarda zdradzał zaskoczenie. - Suczy syn! Locksley!

Izolda nie zdradziła Tristana słowami. Czyny zrobiły to za nią. Łzy napłynęły do zielonych oczu Marianny.

- Dostyc tego. - Sir Ryszard cisnął wisior pod ścianę. - Jutro osobiście dopilnuję, byś trafiła do opactwa Kirklees. I została tam.

- Ojczy...? - Marianna odezwała się po raz pierwszy.

- Oddałaś to, co miałaś najcenniejszego temu zawszonemu biedakowi z Benford, żonatemu, i w dodatku banicie! Nie jesteś już nic warta! Mniej warta niż dziwka z ulicy! - Dłoń sir Ryszarda zawisła, gotowa do ciosu... i cofnęła się. - Zostałaś zhańbiona. Zbezczeszczona. Z własnej woli. Musisz ponieść karę. - Jego głos zdrzął na ułamek sekundy. - Resztę życia spędzisz w klasztorze. Może Bóg ci przebaczy.

- Nie! Nie, nie, nie... - Marianna krzyczała jeszcze długo, aż do utraty głosu, histerycznie miotając się po komnacie. Sir Ryszard pilnował tylko, by nie zrobiła sobie krzywdy, nie targnęła się na własne życie. I ukradkiem ocierał uporczywe łzy.

* * *

Guy z Gisbourne pojawił się przed południem. Towarzyszył mu zaledwie trzyosobowy oddział żołnierzy.

Rankiem tego dnia obudziłam się we własnym łóżku. Nie pamiętałam kiedy i jak w nim się znalazłam. W porze przyjazdu Guya byłam już wypoczęta i powoli zapomniałam o nocnych wydarzeniach. Dzień był pogodny, żaden kruk nie pojawił się nad Benford.

Żołnierze z entuzjazmem przyjęli zaproszenie na posiłek i wychudzony cielak szybko zniknął z rożna - choć w zamyśle miał wystarczyć na tydzień.

Guy nie jadł, ja też nie. Nie przyjechał do Benford dla suchej pieczeni. Rozmawialiśmy w tym samym miejscu, gdzie dowiedziałam się od Willa o Mariannie.

- Szeryf wydawał się zaskoczony tym, że pozwolił ci odejść, Zuzanno. - Unikałam jego wzroku i dotyku, bojąc się, co mogę zobaczyć. Czego mogę nie zobaczyć.

Guy zniżył głos.

- Zuzanno, on nie wiedział, że wyjechałaś z Nottingham.

- Kazał ci sprowadzić mnie z powrotem?

- Nie. Kazał mi cię pilnować. Tutaj. W Benford.

To nie było mądre, kazać swojemu kapitanowi niańczyć mało ważną damę, której mąż grasował po gościach. Jeżeli liczyli na to, że Robert odwiedzał mnie w domu, zawiodą się srodze. Jednakże obecność Guya bardzo mi odpowiadała...

Odpędziłam te myśli precz.

- Każę przysposobić kilka komnat - oznajmiłam. - Ale żołnierze będą nocować w jednej sali.

- Naturalnie.

Wiedziałam, że chciał ująć moją dłoń. Cofnęłam się. Był zaskoczony. Nad nami trzasnęła okiennica, równocześnie podnieśliśmy wzrok. Witrażowe okno kaplicy jeszcze drżało.

* * *

- Swoimi czarami sprawiłaś, że tu przyjechał! - wysyczał brat Tuck. Mijaliśmy się w pustym korytarzu; ze strachu dygotały mu kolana pod habitem. - A teraz usidlisz go, uwiedziesz, sprawisz, że...

- Chciałabym to umieć, ojczu. - Odwróciłam się do niego. Dzień chylił się ku zachodowi, w korytarzu panował półmrok. Tuck skulił się w sobie. - Ale, niestety, nic nie jest takie proste.

* * *

Oczy gniadosza spoglądały na mnie w niemym pytaniu. Poklepałam go po szyi, podrapałam za uchem.

- Nie tej nocy - powiedziałam do niego z uśmiechem. - Tej nocy możesz spać spokojnie.

- Gdybym wierzył w czarownice, Zuzanno, powiedziałbym, że jesteś jedną z nich.

Guy stał w drzwiach stajni. Jego słowa przeniknęły mnie gorącem.

- Dlaczego nie wierzysz w czarownice? - zapytałam bardzo cicho.

Wzruszył ramionami. W mroku był tylko kształtem o błyszczących oczach. Moje także musiały lśnić.

- Dlaczego sama doglądasz koni? - zmienił temat. - Czy sama wyczotkujesz ich grzywy i sprzątasz stajnie?

- Lubię to - odparłam. - Dlaczego nie wierzysz w czarownice?

- Nigdy nie widziałem żadnej.

- Ale ja mogłabym być jedną z nich...

Dotknął mojego ramienia i głośno wciągnęłam powietrze, bo obrazy jego myśli - nie słowa, lecz złożone uosobienia emocji - otworzyły się przede mną. Gorąco... Jest późny wieczór, Zuzanno... Jest lodowaty wiatr!

Nie! Myśli tłukły się w mojej głowie, opierając się obrazom. Nie mogę. Nie powinnam. Chciałam tego i marzyłam o tym. Ale co innego jest marzyć, a co innego czynić.

- Chyba rzuciłaś na mnie urok - wyznał Guy, pochylając się nade mną. Wtedy wyrwałam się, cofnęłam, aż pod drewniany filar.

- Wszystko to wina czarów i uroków? - Nie wiedziałam dlaczego to jedno zdanie tak bardzo wyprowadziło mnie z równowagi. - Diabelskie sztuczki i przeklęte zioła? Nic innego? Tak uważasz?

Zatrzymał się.

- Nie wiem - wyszeptał. - Nic już nie wiem, Zuzanno.

Przygryzłam wargi. Oddychałam coraz szybciej, gorąco ustąpiło miejsca dreszczom. Czułam, jak niewidzialna siła ściska mi podbrzusze, łaskocze piersi.

- Wybacz... - Guy zaczerpnął powietrza. - Wybacz mi to, co powiedziałem. To niemądre. Nie chciałem, żeby... Żeby to tak zabrzmiało. Dobrej nocy...

Ale wcale nie odszedł. Zatrzymałam go.

- Jak zabrzmiało? - zapytałam cicho. Patrzył na mnie bez słowa.

Gniadosz parsknął i potrząsnął łbem. Czułam, że coś bardzo ważnego właśnie wymyka mi się z rąk. *Zbyt często ostatnio odmawiasz, Zuzanno* - kruk nieproszony odezwał się w mojej głowie. Więc nie odszedł, został ze mną, a ja nadal mogłam... - *Czy nie sądzisz, że czas przestać?*

- Gdyby on nie wrócił, Zuzanno... - Nie byłam pewna, czy Guy wypowiedział te słowa, czy usłyszałam jego myśli. Cała drżałam i nie potrafiłam się opanować.

...*Często ostatnio odmawiasz... Czas przestać?*

- Tak... - odpowiedziałam krukowi, myślom Guya i sobie samej. - Tak.

I objęłam go, przyciągnęłam, nie pozwalając mu otrząsnąć się z szoku. Nie pozwalając mu trzeźwo myśleć. W tej jednej chwili chcieliśmy tego oboje. W tej jednej chwili. Co będzie później - nieważne. Krew huczała mi w uszach. Pociągnęłam go w dół, odnajdując w mroku kopczyk siana.

* * *

- Zgrzeszyliśmy... - wyjąkał Guy w chwilę po pierwszym pianiu koguta. - Dobry Boże, przebacz... Zgrzeszyliśmy...

Uśmiechnęłam się szczerze, patrząc w sufit. Żdźbła. kłuły mnie niemal wszędzie, ale nie miałam ochoty się ruszać, by je otrzepać.

- I to ile razy... - nie mogłam powstrzymać chichotu. - Ile razy...

* * *

Kraty w okienku nie większym niż mszał. Poranne, wieczorne i dzienne modły; modły nieustające, uparte, monotonne. Jak dudnienie.

Marianna nie dała się zaprowadzić na mszę, odmówiła jedzenia, roztrzaskując misę o ścianę. Mniszki były zmuszone zamknąć ją w maleńkiej celi bez przestronnych okien i ostrych przedmiotów, by nie wyrządziła sobie krzywdy.

Pomruk modlitw odnalazł Mariannę i tam. Skulona w kłębek brudnego habitu i rudych włosów kołysała się w przód i w tył, recytując zachrypłym głosem rycerskie ballady. Wielebna Blanka, przeorysza klasztoru Kirklees, poważnie zaczęła zastanawiać się, czy córka sir Roberta z Lea nie została opanowana przez szatana...

* * *

Kirklees.

Następnego ranka przebudziłam się, a żeński klasztor nie chciał za nic opuścić mojej głowy. Widziałam Mariannę, skuloną pod chłodną ścianą jak zagubione dziecko. Słyszałam, jak zachrypniętym głosem woła swojego Tristana.

Robert do niej przyjdzie - pomyślałam, wpatrując się w przydymioną taflę lustra. Z tej drugiej strony patrzyła na mnie szczęśliwa kobieta. Szczęśliwa, pomimo snów i myśli tłukących się w głowie.

Szczęśliwa... Jak długo?

Jak daleko leży Kirklees? Czy starczy nocy, by tam dojechać? Ponownie przesunęłam palcem po splocie węzła broszy mojej matki. Mogłam zejść teraz na dół, odnaleźć Guya i wspomnieć mu o klasztorze. Pozwolić innym zająć się wszystkim. Mogłam. Powinnam.

Powinnam była.

Gdyby... Gdybym wówczas posłuchała rozumu, gdybym wcześniej nie słuchała pokus ciała; gdyby żył mój ojciec, a matka nie należała do dzikiego narodu z maleńkiej wyspy... Gdyby mniszki klasztoru Kirklees nie otworzyły tego wieczoru dębowych drzwi przed trójką żebraków, wszystko potoczyłoby się inaczej.

* * *

Ponownie nikt nie zauważył, że opuściłam Benford nocą, konno. Sama. Przynajmniej tak mi się z początku zdawało.

Nie powinien był mnie dogonić, a jednak udało mu się to. Nie mogłam mu uciec tak po prostu i nagle. Już raz tej nocy próbowałam i wynik okazał się raczej marny.



Ściągnęłam wodze, pozwalając Guyowi zrównać się ze mną. On także był sam.

- Zuzanno... - Jakby w obawie, że nagle puszcze się galopem, uchwycił moje przedramię. - Co ty robisz? Przechyliłam się w siodle i, zanim zdążył się odsunąć, pocałowałam go.

- Wracaj, Guy - wyszeptałam w jego usta. - Wracaj do Benford i nie zastanawiaj się nad tą nocą.

A teraz, pomyślałam, teraz odwróci się i pojedzie z powrotem, nie myśląc o mnie, ani o nocnych galopadach po Sherwood. Tak jak de Rainault pozwolił mi wrócić do domu.

- Nie, Zuzanno. Wracamy razem.

Byłam zbyt zaskoczona, by wymówić choć słowo. Tylko patrzyłam na niego, mrugając ze zdziwienia.

- I, na Boga, Zuzanno! Usiądź jak na damę przystało w siodle! Okryj się...

Wyrwałam przedramię z jego uchwytu.

- Kiedy wczoraj odkrywałam się przed tobą, mówiłeś co innego - warknęłam. Nie oglądając się na niego zmusiłam gniadosza do klusa.

Za chwilę Guy był przy mnie. Nie pozwoliłam mu zajechać mi drogi.

- Zuzanno, stój!

Został gdzieś w tyle, jego krzyki zdusił wiatr. Gniadosz przeszedł w galop, w cwał. Kopyta uderzały o grunt, rozorywały go i uderzały znowu. Drzewa śmigały obok, zlewając się w plątaninę słupów, liści i igieł. Na moment zawisłam w powietrzu - gdy przeskakiwaliśmy nad zwałonym drzewem - a potem przyszło uderzenie, jęk ziemi i dalszy cwał. Ucieczka i wyścig.

Jeżeli istniał ustanowiony przez kurierów rekord pokonania drogi z Nottinghamshire do Yorkshire, mój nocny galop pobił go na głowę.

* * *

Przejechaliśmy w pędzie przez uśpioną wieś, zanim ktokolwiek z mieszkańców otworzył oczy. Jedynie psy ujadają. Skróciliśmy drogę na wskroś przez pole. Guy wciąż był za mną, uparcie starając się zmusić mnie do powrotu.

Dla obserwujących nas, o ile tacy się zdarzyli, musieliśmy przypominać parę diabłów, upiornych szalonych jeźdźców. Uśmiechałam się na tą myśl.

Lecz gdy ujrzałam przed sobą klasztor i nagle z nikąd wzbiła się w jaśniejące niebo masa rozbudzonych, rozwrzeszczanych kruków, poczułam ukłucie strachu. Jakbym słyszała Badb... I jej szyderczy śmiech.

* * *

Zeskoczył z konia tuż za mną, dobiegł i szarpnięciem obrócił ku sobie.

- Co ty robisz?!

Jego dłonie były jak kleszcze. Nie mogłam się wyrwać.

- Musiałam - odparłam więc, patrząc mu w oczy; jego myśli uspakajały się - tej nocy dostać się do Kirklees. By spotkać Roberta. Mojego męża.

Zawód, żal, złość. Puścił mnie.

- Dlaczego?

Westchnęłam.

- Jego kochanka została osadzona w tym klasztorze. Lady Marianna. Marianna z Lea.

- I ty... Ty cały czas wiedziałaś, że Robert... Znosiłaś to?

- Dowiedziałam się dopiero niedawno. Nie. Nie chcę tego znosić. - Uśmiechnęłam się lekko. - Ale nie mnie teraz osądzać czyjąkolwiek rozwiązłość.

W kilku krokach byłam przy bramie klasztoru. Delikatnie naparłam na drzwi. Z cichym zgrzytem cofnęły się.

- Powinny - wyjąkał Guy - być zaryglowane.

- Powinny - zgodziłam się. - Ale nie są. I nim zdołał mnie powstrzymać, zanurzyłam się w cieniu odrzwi.

* * *

Zdawało mi się, że nasze kroki dudnią w ciemnym wnętrzu tak głośno, że słyszy nas całe hrabstwo York. Było pusto, gdzieś przed nami szemrała modlitwa, migotały świece.

To w ich blasku ujrzałam cienie, przemykające tuż nad podłogą jak szczury. Dziwaczne były to cienie; obce, należące do innego Nieba i innego Piekła. Jeden odwrócił się nagle i utkwiał we mnie wzrok - spojrzenie niegdyś żywych oczu w brązowej twarzy Maura. Zatrzymałam się; gwałtowny ten ruch zwrócił uwagę Guya. Chciał zadać pytanie. Uciszyłam go dłonią.

Cień dołączył do szeregu i popęzł dalej, w drogę do człowieka, niewiernego, którego chciał odszukać... Tak, pomyślałam. Cel mamy wspólny. Więc prowadźcie mnie. Naprzód.

Doszliśmy do kaplicy, drzwi były zamknięte i przystawione ławą. To stamtąd dochodził szmer modłów. Nieco dalej biegły w górę schody. Cienie zniknęły u ich szczytu, w mroku.

John Little i Will Scarlet po prostu stali tam, pomiędzy mną a schodami; nieruchomo. Za moimi plecami Guy płynnym ruchem wyjął miecz z pochwy...

Z bocznej niszy, z ciemności, wypadł Much Miller niczym mała, ryza kulka wściekłego wrzasku i przewracając świecznik, skoczył na Guya. Błysnęło krótkie ostrze. Obaj stracili równowagę, zatoczyli się na drzwi jednej z cel... I drzwi otworzyły się z piskiem zawiasów. Guy i Much, szczeni ze sobą, zniknęli w ciemności.

Krzyk zamarł mi w gardle. Poczułam chłód stali na karku. Powoli odwróciłam się.

Przed moją twarzą zawisło wyszczerbione ostrze Johna Little. Widziałam w jego oczach, że bardzo chciałby mnie zabić, choć sam jeszcze nie był pewien dlaczego... Nie, już wiedział. Uśmiechnął się.

Dla widoku krwi. To dobry powód.

* * *

Much poczuł jak jego ostrze trafia na opór, jak zagłębia się w żywe ciało. W chwilę po tym ciężka głowica miecza złamała mu nos i kość policzkową, wybijając też resztkę zębów, którą zachował z dzieciństwa.

* * *

Żelazo szczęknięto o żelazo i miecz Johna odskoczył w bok. Cofnąłam się natychmiast.

Zimne jak lód oczy Willa patrzyły na mnie znad klingi.

- Do góry, schodami - rzucił. - Potem na prawo.

Do Johna jeszcze nie dotarło to, co się stało. Wściekle mrugał powiekami.

Musiałam mieć pytanie w oczach. Will uśmiechnął się. Drugi raz, odkąd go poznałam. Miał ładny uśmiech.

- Nie godzi się porzucać kobiety, która czekała - wyszeptał. Poczułam wilgoć pod powiekami.

John ryknął i skoczył do przodu, młynkując mieczem, a Will znowu stanął mu na drodze. Pełznące cienie przystanęły, spojrzały zaciekawione.

Wymięłam walczących i pobiegłam, nie oglądając się schodami w górę. A z tyłu cienie zafalowały, widząc pierwszą krew, czekając na pewną śmierć.

* * *

Potężne ramiona Johna Little jednym ruchem nadały wyszczerbionemu ostrzu śmiertelny kierunek. Skręt ciała użyczył siły. Miecz z wizgiem przeciął powietrze, ubranie, skórę, mięśnie i zatrzymał się w kości miednicy.

Równocześnie lodowate zimno dotknęło brzucha Johna. Coś śliskiego i gorącego pociekło po jego udach. Spojrzał w dół.

I z rozmachem usiadł we własnych wnętrznościach.

* * *

Nie rzuciła się w jego ramiona, nie obdarzyła swego wybawcy płomiennym pocałunkiem. Robert był tak zaskoczony, że nie wiedział, co robić.

Marianna kołysała się w przód i w tył, a jej oczy były zasnute mgłą. Przeraził się, gdy potrząsnął nią i nie uzyskał najmniejszej reakcji.

Czy to dla niej tak ryzykował? Dla niej wdzierał się do klasztoru? Marianna drgnęła, uniosła głowę, zamrugała. Drzwi celi otwierały się wolno. Dłoń Roberta odruchowo zacisnęła się na rękojeści miecza. Marianna podniosła się i przylgnęła do kamiennej ściany, wbijając paznokcie w zaprawę murarską.

- Kruk... - wyjąkała. - Przyszedł po mnie...

Drzwi celi stały otworem.

* * *

Stałam w progu, wpatrzona w Roberta, w jego rozszerzone ze zdumienia oczy. Żadne z nas nie wymówiło ani słowa. Wtulona w ścianę Marianna łkała jak dziecko.

- Zuzanna? - Robert puścił rękojeść miecza, rozluźnił spięte mięśnie. - Zuzanno, to ty... Nie rozumiem.

- Dlaczego? - Nie słuchałam jego nieskładnych zdań; miałam własne pytania i chciałam wreszcie usłyszeć odpowiedź. - Miało cię tu nie być, Robercie. Miałeś zniknąć i nigdy nie wrócić. Zostałeś... Dla niej?

Wskazałam Mariannę, która ukryła twarz w dłoniach i rzuciła się całym ciałem w bok, na ścianę z zakratowanym okienkiem.

Robert milczał.

- Dla niej... - Nie mogłam nie powiedzieć tego bez pogardy. I co teraz, pomyślałam. Co dalej?

Robert nadal nie otworzył ust.

Marianna wyprostowała się nagle. Przez krótką chwilę z tyłu za nią zamajaczyła mi biała postać Nemain, Pani Szału... Tutaj?

- Cienie... - Oczy Marianny były rozbiegane. - Cienie są wszędzie... Kruk... To Kruk je tu przyprowadził! Zabierzcie je! Zabierzcie je! Za...

Robert odwrócił się, chwycił ją za ramiona. Zamilkła, patrząc prosto w jego twarz. Mrok poruszył się; gęsty, śliski i duszący. Gdy zafalował, z trudem utrzymałam się na nogach.

- Cienie - wyszeptwała Marianna - są nad tobą, Tristanie. - Oczy uciekły jej pod przymknięte powieki i zwisała bezwładnie w uchwycie Roberta.

* * *

...Krew... Była wszędzie i nogi ślizgały się w niej jak na zamrożonym jeziorze. Droga do schodów była wielką kałużą zastygłej posoki z dwiema wyspami bladych ciał.

* * *

Robert nie widział czerni, kłębiącej się nad jego głową, wyciągającej ręce, wytrzeszczającej dziesiątki oczu. Cóż takiego zrobił, czego dopuścił się, że przyciągnął poprzez morze za sobą tyle rozwścieczonych cieni? Ta noc musiała być wyjątkowa, skoro mogły tak demonstrować swoją siłę. Czułam się, jakby złożono mi na ramiona ogromny ciężar.

Robert nagle zgiął się, jego twarz pokryły perły potu. Cienie osiadły mu na barkach.

- Co on wam zrobił?... - zapytałam, postępując krok do przodu. Robert wyprostował się z wysiłkiem.

- Zabił ich - zakrakał kruk, siadając na parapecie zakratowanego okienka. - Zabił ich w kraju za morzami.

- Czy duchy martwych Maurów prześladowają wszystkich, którzy splamili się ich krwią... ?

- Nie. - Kruk rozpostarł skrzydła, odczytując moje myśli. - Potrzeba klątwy.

Klątwy... Poczułam przejmujący chłód. Ile razy pragnęłam, by Robert nigdy nie wrócił... A gdy jednak pojawił się znowu w moim życiu... Ukrywałam to przed sobą, ale tak naprawdę gorąco modliłam się do jakiegokolwiek boga, który zachciałby mnie wysłuchać, o jego śmierć. Czy to ja rzuciłam tę klątwę?

Czy ja mogłam ją zdjąć?

Wyciągnęłam ramiona i ujęłam twarz Roberta w dłonie. Widziałam ból w jego oczach. Nie umiałam rozróżnić myśli.

- Ro... - Otworzyłam usta, lecz nie dokończyłam słowa. Uderzenie w pierś oderwało mnie od Roberta, cisnęło na posadzkę.

Rude włosy Marianny otuliły moją twarz duszącą siecią, jej dłonie uderzały i drapały. Była jak rozdrażniony kot, jak gniewne dziecko.

- Nie dotykaj! Nie dotykaj go, Kruku!...

Cios wymierzyłam na ślepo - usłyszałam jęk i dłonie Marianny zamarły. Zepchnęłam ją z siebie; stoczyła się jak worek pakuł, oparła na przedramionach, potrząsając głową. Podniosłam się chwiejnie.

- Co chcesz zrobić? - zaskrzeczał kruk.

- Nie wiem - odparłam. - Ale naprawdę nigdy nie chciałam, by tak to się skończyło.

Ponownie wyciągnęłam ramiona. Robert uniósł głowę. Jego oczy... Nie zdążyłam się cofnąć. Jego oczy były... puste. Głos zamarł mi w gardle.

Zimne palce zacisnęły się na mojej szyi, zabierając powietrze. Nie było żadnych myśli. Robert był pusty jak wyschnięta studnia...

- Zostaw... Mnie... - Na dnie jego oczu błyszczało szaleństwo. - Dlaczego... nie chcesz... zostawić... mnie... w... spokoju?!

Próbowałam rozewrzeć jego palce. Na próżno. Czarne płatki wirowały wokół mnie jak piekielny śnieg. Cienie otaczające Roberta zdawały się śmiać.

- Teraz... masz, co chciałaś... - cedził przez zęby każde słowo. - Zniknę... Tylko... jeżeli tak bardzo tego pragnęłaś... dlaczego wciąż snułaś się za mną jak cień?...

- Puścił mnie. Usiadłam na podłodze, zakrywając rękoma gardło. Przykucnął obok, zbliżył twarz do mojej.

- Chciałaś odpowiedzi? Oto one... Czy cię kochałem? Byłem... jestem twoim mężem, powinno ci to wystarczyć. A ty nawet nie potrafiłaś donosić mojego dziecka... a może nie było moje, co? Zapewne nie. Moja krew nie pozwoliłaby się pokonać...

Chwycił mnie za nadgarstek, zanim zdołałam uderzyć go w twarz.

- Nie próbuj, Zuzanno. - Powoli przekreślał dłoń, ból w ręce stawał się coraz ostrzejszy.

- Ro... - Gwałtownie szarpnął moim nadgarstkiem i atak bólu nie pozwolił mi dokończyć słowa.

Zamknęłam oczy, czując łyż wściekłości. Ogień zapłonął w mojej głowie...

I wtedy Robert krzyknął, przeklął i rozluźnił uchwyt.

- Suka... - Ścisnął lewą dłoń i krzywił się z bólu... - Wiedźma...

Skórę na palcach pokrywały mu pęcherze, swąd poparzonego ciała unosił się w powietrzu. Cienie zastygły pod sklepieniem. Badb znieruchomiała w oknie.

- Czym ty jesteś... - wyjąkał Robert, cofając się. Wtedy w drzwiach stanął Guy. Jego lewe ramię zwisało bezwładnie, a strużka krwi skapywała z palców, kropla po kropli, na posadzkę. Robert zaklął raz jeszcze. A potem, przyciskając poparzoną rękę do piersi, rzucił się obok Guya przez próg, przetoczył po podłodze i pobiegł korytarzem. Krzyknęłam dopiero gdy zniknął mi z oczu, zbyt zaskoczona, by zareagować wcześniej.

- Nic mi nie jest - zwróciłam się do Guya, który wciąż stał w miejscu, patrząc na mnie. - Nic mi nie jest!

Dopiero wtedy odwrócił się i ruszył za Robertem. Pobiegłam za nimi, nie zwracając uwagi na półprzytomną Mariannę. Cienie ponownie wskazywały mi drogę.

Zatrzymałam się na schodach. Musiałam przytrzymać się ściany, bo nogi ugięły się pode mną. Wiedziałam, co tam zastanę; wiedziałam, że Will i John nie żyją. Ale nie wiedziałam, że będzie aż tyle krwi. Usiadłam na schodach, próbując opanować mdłości, ale krew była i tu. Guy, wchodząc na górę, przyciągnął ją ze sobą. Krew na każdym schodku, wężyk krwi na ścianie...

Krew jest i na mnie... Pomyślałam nagle i uniosłam dłonie do oczu. Czerwone. Krew była wszędzie.

Robert zatrzymał się pośrodku sali i nie mógł oderwać wzroku od trupów. Guy był już u podnóża schodów, w zdrowej ręce ścisnął miecz.

Zza drzwi kaplicy wciąż dobiegał szmer modlitw. Cała scena wydała mi się nagle sennym koszmarem, majakiem, z którego zapragnęłam się obudzić... Przebudzić się natychmiast. .. Podniosłam się i zbiegłam na dół. Schodek za schodkiem.

Robert odwrócił się, Guy uderzył. Stał krzyknęła. I jeszcze raz. I jeszcze. Co ze mnie za wiedźma, pomyślałam, i po co mi siła, której nie pojmuję, jeżeli mogę jedynie patrzeć? Umiałam rozpocząć to wszystko... teraz muszę to zakończyć. Lub chociaż spróbować.

I Guy, i Robert, ledwo trzymali się na nogach, a każdy zadawany i parowany cios wymagał od nich ogromnego wysiłku. Nie chciałam zgadywać komu zostało więcej siły; to Guy krwawił.

Posadzka była śliska.

Mój umysł był pusty, gdy wbiegłam pomiędzy walczących, twarzą do Roberta. Wszystko stanęło... Jak wtedy w lesie, w kamiennym kręgu, podczas rozmowy z Morrigan, Badb i Nemain. Wszystko zamarło w błękicie i granacie...

Miecz Roberta zawisł nad moją głową, gotowy ciąć między oczy. Oddychałam wolno, bojąc się poruszyć. Co teraz, Zuzanno? Sięgniesz po ogień piekielny?

Tętniący, wściekły ból uderzył w moje skronie; zatoczyłam się na nieruchomego Guya. Czas... Czas buntował się. Wyrwał się. A ja nie umiałam go utrzymać.

Wszystko ruszyło. Miecz Roberta opadł...

Krzyk bean sidh wypełnił mi uszy; długie, przeciągłe zawodzenie... I nagle zrozumiałam, skąd pochodzi ten głos.

Z mojego gardła.

Głowa Roberta odskoczyła na plecy, jakby ktoś uderzył go z całej siły. Krew trysnęła mu z nosa, pociekła z uszu i ust. Ramiona wykonały rozpaczliwy zamach -ostatni ruch tonącego, miecz wypadł mu z drętwiejących palców.

Umilkłam, lecz krzyk nadal wibrował pod sklepieniem.

Robert upadł na wznak; jego pierś poruszała się słabo, oczy nie były przytomne.

Guy odsunął się, gdy spojrzałam na niego. Szmer modlitw za drzwiami kaplicy ucichł. Skierowałam się w tamtą stronę. Drzwi blokowała ciężka dębowa ława. Odsunęłam ją. Jedną ręką.

Krew, pomyślałam. Krew zawsze jest pełna mocy, czy nie tak mówiła Badb? Tej nocy przelano już tyle krwi... Moc szukała ujścia.

Z kaplicy patrzyły na mnie blade twarze mniszek. Kilka się przeżegnało. Spomiędzy nich wyszła jedna, wysoka i smukła. Spod welonu wydostało się kilka kosmyków rubinowych włosów.

Zamarłam i bez słowa usunęłam się jej z drogi.

Mniszka o twarzy Morrigan uśmiechnęła się do mnie i przepłynęła nad posadzką, niemal nie dotykając jej stopami. Spojrzała na Roberta.

- Nie lękaj się, córko - zwróciła się do mnie, a ja nadal nie potrafiłam wykrztusić ani słowa - teraz my się nim zaopiekujemy.

I popłynęła w jego stronę, a inne siostry za nią, jak bezwolne stadko gęsi. Uniosły nieruchome ciała i zniknęły w mroku korytarza, nie wydając najmniejszego dźwięku.

- Nie pojmuję - wyjąkał Guy, przecierając oczy. -Boże Miłosierny, nie pojmuję...

Postąpiłam krok w jego stronę, lecz uniósł rękę w ostrzeżeniu.

- Nie - szepnął. - Nie.

I odszedł. Zostałam sama.

Zamknęłam oczy Willowi i Johnowi, a potem opuściłam Kirklees. Gdy przekraczałam próg klasztoru, duchy Maurów zawyły tryumfalnie, unosząc ze sobą to, po co przybyły.

Stało się. Powinnam być szczęśliwa. Kilka kroków dalej usiadłam i zaniosłam się płaczem.

* * *

Nie potrafię sobie przypomnieć, jak dotarłam do lasu. Po prostu nagle stałam pośrodku kręgu drzew i kamieni; kręgu, do którego poprzysięgłam nie wracać. Badb i Nemain już na mnie czekały. Morrigan jeszcze nie było.

- Płakałaś - zauważył kruk. Nie odpowiedziałam, bo za moimi plecami coś się poruszyło. Do kręgu wpełzł czerwonawy wąż. Zamrugłam. Na jego miejscu stała Królowa Fantom. Morrigan.

- Stało się - powiedziała spokojnie.

- Zabiłaś go - szepnęłam.

- Dokończyłam tylko to, co zaczęłaś. Już był martwy.

- Zabrały go - dodałam ze smutkiem.

- Po to przebyły wodę. Gdyby nie zabrały jego, zabrałyby ciebie. Bo to tyje przywołałaś.

- Wiem. - Spuściłam głowę. Morrigan uśmiechnęła się.

- On widział wszystko, prawda? Ten młody człowiek, którego pragniesz?

Skinęłam głową.

- Widocznie tak miało być. I tak musiałabyś o nim zapomnieć. Twój czas płynie teraz inaczej niż jego. I nigdy nie dałabyś mu syna.

Nie odpowiedziałam. Zaczęłam wychodzić z kręgu.

- Obojętnie gdzie teraz pójdziesz, nie znajdziesz swojego miejsca. Bo ono jest z nami. Zawsze było. Dlatego wszyscy inni cierpią, gdy próbujesz być szczęśliwa.

To prawda, ale ja nie muszę być szczęśliwa.

- Czy nadal nie wierzysz, że jesteśmy bogami? Po tym, co stało się w tym domu twego zabitego Boga? Po tym, co tam robiłam?!

Jej krzyk przypominał protest rozdrażnionego dziecka, któremu ktoś zabiera zabawkę.

- Może - odwróciłam się do niej, przystając na granicy kręgu. - To ludzie nazwali tak ten kamienny budynek; może mój zabity Bóg wcale tak nie uważa?

To naprawdę niezwykły widok: bogini otwierająca usta ze zdziwienia.

* * *

Dzień już wstał, a ja szłam pieszo przez las; wolno, nie myśląc dokąd chcę dojść. Moja suknia, poplamiona krwią i poszarpana, teraz była mokra od mgły.

Obca. W tym Morrigan miała rację; zawsze byłam obca, a teraz nie widziałam dla siebie miejsca, w którym mogłabym czuć się... Szczęśliwa? Przekleństwo krwi. Dlaczego kiedyś ktoś je rzucił? I kto? Wszystko, czego się dotknę, zostaje naznaczone... Och, Zuzanno, gdybyś mogła cofnąć czas... Ale możesz go jedynie zatrzymać i to na żałośnie krótko...

Musiałam zbliżyć się do traktu, bo usłyszałam miarowy stukot kopyt. Postąpiłam parę kroków, przeszłam przez kępy paproci - i stanęłam na drodze, pośród zasnutego poranną mgłą lasu. A naprzeciw mnie był Guy; siedział na swoim koniu i prowadził obok mojego gniadosza.

Zwierzęta stanęły, ostatnie kopyto zetknęło się z ziemią

I zaległa cisza. Nagle zapragnęłam głośno się roześmiać. Śmiać się z samej siebie i z niego, z nas obojga, dorosłych ludzi, którzy nie wiedzieli co robić.

Staliśmy naprzeciw siebie, milcząc, staliśmy długo. Aż dziw, że nikt inny nie przejeżdżał tym traktem.

- Nie żyje - powiedział w końcu Guy. - Matka przełożona cięła zbyt głęboko, gdy puszczała krew.

- Matka przełożona... - wyszeptalam. Więc w ten sposób... - Rozumiem. Twoje ramie? - zapytałam nagle.

- Opatrzyły mnie. Już nie krwawi - zawiesił głos - tak mocno.

Przyglądał mi się uważnie, jakby chciał dostrzec ogień buchający spod moich stóp czy diabelski ogon za plecami. Bał się mnie czy czuł do mnie odrazę? A może obie te rzeczy naraz? Głośno wciągnęłam powietrze.

- Zuzanno - odezwał się nagle. - Wyjaśnij mi, proszę. Sposób, w jaki to powiedział... Poczułam ciepło w sercu.

- Kiedy w stajni nazwałeś mnie czarownicą- zaczęłam miałaś rację. Być może - mówiłam i szłam w jego kierunku - rzeczywiście użyłam jakiegoś uroku, by cię opętać? Lecz gdy naprawdę chciałam rzucić na ciebie czar, byś nie jechał ze mną do Kirklees, nic się nie stało... A reszta... - Stałam już u jego strzemienia.

- Widziałeś resztę.

- Diabelski krzyk, sprowadzający niemoc? Widma w habitach? - zapytał. - W domu poświęconym Bogu?

- Widziałeś - przypominałam mu. Spojrzał mi w oczy.

- Czarownica - smakował to słowo. A potem uśmiechnął się. - Jesteś niebezpieczną kobietą, Zuzanno.

Odwzajemniłam uśmiech.

Nie przejechaliśmy dziesięciu stóp, gdy Guy chwycił mnie za ramie. Jego myśli uspokoiły mnie zupełnie, pozwoliłam mu mówić. Patrzył mi prosto w oczy, a nasze konie spokojnie skubały rzadkie kępki trawy.

- Twój mąż nie żyje - Guy powiedział to inaczej niż wcześniej. Tylko skinęłam głową. - Kobieta z twoją urodą nie powinna sama zarządzać zamkiem na peryferiach hrabstwa. To niebezpieczne.

- Umiem zadbać o siebie, Guyu z Gisbourne - odparłam. - Umiem bardzo dobrze zadbać i o siebie, i o mój zamek. Jesteś tego świadkiem.

- I dowodem - przypomniał - że nie zawsze twoje uroki odnoszą pożądany skutek... Jeżeli zaś samotnej, pięknej kobiecie będzie zbyt dobrze się powodzić, zawistni sąsiedzi mogą obwołać ją czarownicą...

- Czy nie uciekałeś ode mnie, powtarzając: „nie, nie”?

- Zaskoczyłaś mnie.

- Łatwo dajesz się zaskoczyć, Guyu z Gisbourne...

Znał moją odpowiedź w momencie, gdy zaczynał mówić. Cóż innego mogłam powiedzieć? Wiedziałam, że za jakiś czas będę stała nad jego grobem, wciąż żywa i młoda. Że odejdę w góry, by żyć samotnie, z dala od ciekawskich i podejrzliwych spojrzeń. Że umrę gdzieś sama, za wiele, wiele lat... Może gdy ludzie zaczną latać? Nie mogłam wtedy dojść skąd pojawiła się u mnie taka myśl. A Robert? Banita Locksley nie żyje i de Rainault wkrótce dowie się o tym. Z czasem ludzie zapomną. Widmo Roberta przestanie mnie prześladować.

Historia zapomni. Jeżeli nie o Robercie, to o mnie.

- Tak, Guyu z Gisbourne. Pozwalam ci zaopiekować się mną.

Anna Koronowicz